

Zofia Tarajło-Lipowska

Jak to jest być kotem?



Zofia Tarajto-Lipowska

Jak to jest być kotem?

© Copyright by Zofia Tarajło-Lipowska & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Ilustracje: Jacek Szleszyński

Projekt okładki: Jacek Szleszyński

Skład: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-8166-506-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2026

Opowieść luźno nawiązuje do innej książki dla dzieci i młodzieży pt. *Mój Kot i jego Kumpel*, która wyszła kilka lat temu w Wydawnictwie Komlogo. Przeczytanie tej książki nie jest jednak konieczne do lektury nowej książki (choć jest polecane), bo zwierzęcy i inni bohaterowie są nowi, a ich przygody też są inne. Obie książki, niezależnie od siebie, mówią o moich rzeczywistych relacjach i przygodach z kotami, dopełnionych wyobraźnią.

Autorka

Rozdział I

Mój kot o imieniu Kot wyprowadza się

To prawda, że nieszczęścia chodzą po ludziach, jak się często mówi. To znaczy, że każdemu człowiekowi prócz szczęśliwych chwil zdarzają się też trudne momenty. Na mnie to przyszło ni stąd, ni zowąd, zniekacka i bez ostrzeżenia. Dodam jeszcze, że czas zawsze pędzi na łeb, na szyję, a w tym pędzącym czasie mogą się dziać różne rzeczy, na przykład mogą nastąpić ważne zmiany, których wcześniej trudno byłoby się spodziewać. Dzieci rosną, dorośli się starzeją, a żywność i lekarstwa z biegiem czasu tracą ważność i nie nadają się do użytku. Nawet najlepsi przyjaciele mogą zmienić się tak, że trudno ich zrozumieć. O kilku takich przypadkach, czasem na lepsze, a czasem na gorsze, chcę wam tutaj opowiedzieć.

Po przeczytaniu książki Uważni Czytelnicy będą mogli odpowiedzieć na następujące pytania:

CO się zmieniło na lepsze i KTO się zmienił na lepsze?

KTO się okazał KIMŚ zupełnie innym? Co o tym świadczy?

Wyobraźcie sobie, że mój Kot wyprowadził się do naszych sąsiadów, państwa Gwizdałów! Było to tak.

Pewnego dnia Kot usiadł przede mną na biurku z równiutko ułożonymi łapkami i popatrzył mi głęboko w oczy. Uśmiechnęłam się do niego, on też się do mnie uśmiechnął... i nagle oświadczył mi, że powinien się ode mnie wyprowadzić! Dlaczego? Bo już dłużej nie znesie tego, że jego najlepszy Kumpel, inaczej zwany Różowym Uszkiem (też zresztą kot) czuje się samotny i nieszczęśliwy. Kumpel bardzo cierpi, więc Kot postanowił zamieszkać razem z nim u państwa Gwizdałów.

Zupełnie mnie zamurowało, takie to było nieoczekiwane!

– Twój Kumpel, nazywany czasem Różowym Uszkiem, wcale nie jest samotny. Wręcz odwrotnie – powiedziałam głosem nieco drżącym. – U Gwizdałów mieszka sześć osób: starsi Gwizdałowie, młodszy Gwizdałowie i dwoje Gwizdałat. – Użyłam słowa według wzoru: kogo? czego? „piskląt” i „niemowląt”. – Poza tym jest tam Pan Piesio i dwa koty, nie licząc bezimiennych królików w komórcie na ogródku.

– Gwizdałom tylko na tych królikach zależy, ale na kocie Kumplu ani trochę – powiedział z goryczą Kot. – Między ludźmi a zwierzętami panują tam chłodne, a nawet lodowate stosunki, a sami Gwizdałowie też zachowują się między sobą, jakby się nawzajem nie lubili. Zamiast uprzejmie i życzliwie rozmawiać, warczą na siebie i pokrzykują. Rzadko bywają dobrzy dla domowych zwierząt,

ale nawet jeśli są, to nigdy nie chodzi o mego Kumpla. Jeszcze najlepszy z nich jest dziadek Gwizdała, bo on koty kiełbasą częstuje, ale na ogół nie ma go w domu, podobno jeździ gdzieś na wieś do krewnych.

– No to dlaczego chcesz się przeprowadzić do rodziny, w której panują tak chłodne stosunki, że aż lodowate? Przecież u mnie jest ciepło i miło – zapytałam, pociągając nosem, bo zbierało mi się na płacz.

– O mnie się nie martw! Ja sobie radę dam! – odmiauknęła dumnie Kot z absolutną pewnością siebie w głosie. – Może ja im te chłodne stosunki zmienię i ocieplę? Może im te lody roztopię? Lubię mieć przed sobą trudne zadania.

– Ty się tak przejmujesz, że Kumpel czuje się samotny, ale nie obchodzi cię, jak ja się będę czuła. Czy masz sumienie zostawić mnie samą? – spytałam tragicznym tonem i jednocześnie tak się tym przejęłam, że z oczu naprawdę pociekły mi łzy.

– Ojej, wszystkie kobiety strasznie lubią płakać. – Kot skrzywił się niechętnie. – Nie rycz tak, bo chusteczki do nosa masz niewyprasowane, a te papierowe właśnie się skończyły. Jak teraz sobie nos wysmarkasz? – spytał rzeczowo, a po chwili dodał: – Ten twój pluszowy mądrała, co go nazywasz Misiem, na pewno się tobą zajmie.

Miał na myśli maskotkę, która z nieznanых powodów sama porusza się i mówi, ale tylko wtedy, kiedy ma

na to ochotę. Jeśli Miś nie chce, to żadna bateria ani zasilacz go do tego nie zmusi. Kątem oka zauważyłam, że Miś właśnie się włącza do życia i zezuje na moje biurko, nadstawiając ucha tak mocno, że pluszowe ucho jakby mu się naciągnęło.

„Szwy mogą puścić” – przestraszyłam się w duchu, bo wiele lat temu sama mu te uszka mocno przyszyłam. „Jeśli Miś usłyszy, że jest tylko zabawką, że nie liczy się jak zwierzę lub człowiek, to będzie mu przykro i może się obrazić!”

– Obaj z Kumplem będziemy cię odwiedzać od czasu do czasu – pocieszył mnie Kot. – Jak ugotujesz mięsko na obiad albo kupisz w Internecie parę saszetek z kocią karmą, to od razu przylecimy sprawdzić, jak to smakuje... Czasem Gwizdałowie zapominają o zwierzęcych lokatorach, tylko o królikach zawsze pamiętają. Jeśli zapomną o nas, to my od razu pędzimy do ciebie – zapewnił mnie Kot i z czułością otarł się o moją łydkę. – Przypominam ci jeszcze, że ja osobiście naprawdę bardzo cię lubię i jesteś mi potrzebna – wyrecytował formułkę, za pomocą której już wiele razy udało mu się mnie udobruchać. – Ale teraz muszę już lecieć, żeby sprawdzić, co słychać u Kumpla, czy wszystko tam jest w porządku. No to co? Umawiamy się, że zgadzasz się na moją przeprowadzkę, prawda? – rzucił mi na odchodnym. – Powiedz o tym

Gwizdałam, choć im i tak wszystko jedno, byle im tylko króliki nie pouciekały.

Zostałam sama, nie licząc pluszowego Misia. Cały wieczór rozmyślałam nad tym, jaki naprawdę jest mój kot o imieniu Kot... Mój dotychczasowy kot – poprawiłam się w myślach. – Dawno zauważyłam, że jest samolubny i pewny siebie. Nie byłam tylko pewna, czy to dobrze, czy źle? Myślałam, że dobrze, ale w tej chwili okazało się, że źle.

– Co robić, rozczarowałam się do niego, niestety – powiedziałam do siebie samej.

Rozdział II

Nadchodzi pomoc w tej trudnej sytuacji

To, o czym chcę tu opowiedzieć, zaczyna się od przybycia do mego domu kota, który później został nazwany Filutkiem. Trafił do mnie jako małe kociątko polecane mi przez pana weterynarza. I nie tylko polecane, bo kot Filutek został przez niego osobiście przywieziony!

– Dzień dobry! Podobno pani potrzebny jest kot – powiedział weterynarz, wyjmując z bagażnika auta duże tekturowe pudło.

– Skąd pan wie o tym? – zdziwiłam się, bo rzeczywiście, właśnie zapadłam na chorobę cywilizacyjną zwaną „bezkociem”, czyli brakiem kotów w domu. – Kto panu powiedział, co mi się przytrafiło?

– Wszystkie wróble na dachu o tym ćwierkały – odparł weterynarz z miną kogoś, kto dobrze wie, o czym ćwierka się na dachu w ptasim towarzystwie.

Tekturowe pudło było przewiązane sznurkiem, ale miało kilka dziurek, przez które wysuwały się małe, zwinnie łapki, zaczepiające pazurkami na oślep tekturę i sznurki: łapka tu, łapka tam... Zaniósłam pudło do pokoju i otworzyłam. Ze środka wyszedł mały żółto-szary kotek z wyraźnie białym pyszczkiem i łapkami.

Wydawał się oszołomiony nową sytuacją życiową. Weterynarz tymczasem oznajmił, że się śpieszy, pożegnał się i odjechał.

– Dzień dobry! – miauknęłam w kocim języku do nowego domownika. – Jak się masz, śliczny koteczku? Będziesz ze mną mieszkał, prawda?

Kotek nie odpowiedział. Postanowił widać najpierw obejrzeć nowy lokal i sprawdzić, jak się tutaj mieszka. Dokładnie przejrzał wszystkie kąty, w każdy z nich wsadzając ciekawski nosek. Po drodze znalazł miseczkę z jedzeniem i parę kęsów spróbował. Przyjrzał się uważnie kociej kuwecie w łazience, przysiadł na żwirku i zainaugurował (to znaczy uroczyście rozpoczął) jej używanie. Na żwirku została mokra plamka. Ucieszyłam się, bo znaczyło to, że nowy kotek jest pojętny.

Nie odzywał się przy tym wcale, jakby nie wierzył, że ja, choć nie jestem kotem, umiem porozumiewać się po kociemu. A może moja wymowa nie była wtedy dla niego wyraźna? Za to uprzejmie pozwolił się pogłaskać. W końcu wskoczył na kanapę, zwinął się w kłębek i zasnął.

Warto tutaj opowiedzieć, jak poznałam pana weterynarza. Kiedy pierwszy raz poszliśmy tam z Kotem, o którym pisałam w poprzednim rozdziale, weterynarz przyjmował pacjentów na parterze innego domku z ogródkiem. Tego dnia miał dyżur po południu, ale jeszcze nie przyszedł do gabinetu. Było wtedy ciepło, świeciło słońce, więc nikomu

nie chciało się siedzieć w poczekalni, a zwierzęta i ich opiekunowie ustawili się w kolejce na trawniku. Pamiętam, że w kolejce był chomik, żółwica, kilka kotów w torbach do przenoszenia małych zwierząt postawionych po prostu na trawie, a nawet złota rybka w małym akwarium. Psów też nie brakowało, a jeśli nie musiały być na smyczy, to kręciły się po trawniku i obwąchiwały ludziom kostki u nóg.

Wśród tej krzątaniny i psiego poszczekiwania pojawił się jakiś wysoki Indianin! Twarz miał pomalowaną na wiele kolorów, które były trochę rozmazane rozpiętymi rękawami koszuli, jak się zorientowałam. Na czole miał opaskę z różnymi piórami, a na szyi nosił dużo naszyjników i amuletów. Indianin uważnie obszedł pacjentów (żółwicę połaskotał pod bródką), pytając, czy są przypadki specjalnie pilne i ważne.

Od razu pojęłam, że Indianinem jest ni mniej, ni więcej tylko kto? Tak, to był pan weterynarz! Okazało się, że jest tatą dwóch chłopców w wieku szkolnym, a dziś wszyscy trzej przebrali się za Indian i świetnie się bawili. I rzeczywiście, bo po chwili z kryjówek wyskoczyli pozostali Indianie, na szczęście byli nastawieni pokojowo. W każdym razie żadne zwierzę w kolejce się na nich nie poskarżyło. Pomyślałam wtedy, że trafiłam do tego właściwego weterynarza, człowieka fachowego i z fantazją. I rzeczywiście tak było.

